

Jacek Mroczek – „Poliamoria oszlifowana jak brylant”

TeatrVaria, 15 czerwca 2025.

Link: <https://teatrvaria.blogspot.com/2025/06/poliamoria-oszlifowana-jak-brylant.html>

Jechałem z obawami. Zastanawiałem się, co krakowski Teatr Barakah opowie na temat poliamorii. Delikatna to przecież sprawa. Bardzo osobiste, ludzkie wybory, podszyte emocjami, uczuciami. Często prowadzące do tragedii. „Amoria” w reżyserii Klaudii Gębskiej uczciwie wszystkie te aspekty kładzie na scenie i pozwala analizować. Każdemu indywidualnie, bez propagandy. Skąd obawa? Właśnie stąd. Łatwo popaść w płytkość przekazu i osądu. Ideologiczny smrodek. Gębska trzyma się z daleka od mielizn.

W zasadzie to spektakl, który nie ma słabych stron. W każdym aspekcie jest co najmniej dobrze, żeby nie powiedzieć - brawurowo. U podstawy leży ciekawy, oryginalny pomysł na fabułę. Co by było, gdyby losy bohaterów słynnego duńsko - szwedzko - francusko - norweskiego dramatu z 2021 roku „Najgorszy człowiek na świecie”, w reżyserii Joachima Triera, potoczyły się inaczej? Uczucie, które tam jest destrukтором stało się konstruktorem zupełnie nowej zależności między czwórką głównych dramatis personae? Może rozwiązaniem ich problemów jest właśnie poliamoria? A jeśli tak, to jak do niej mogą dojść, nie krzywdząc się wzajemnie i nie kalecząc nadmiernie uczuciowo?

Sam jednak pomysł to mało. Trzeba go rozpisać na role, zbudować postaci. Potem ich wzajemne interakcje i dialogi. To także mocna strona „Amorii”. Spektakl jest błyskotliwy i skrzy się zabawnymi sytuacjami. Ale wszystko jest okraszone, jak być powinno, subtelnościami i inteligentnie pokazanymi dylematami, jakie mają poszczególne osoby. Dialogi pędzą jak górski wodospad, czyniąc spektakl w Teatrze Barakah znakomicie dynamicznym widowiskiem. Trudno się tu znudzić, czy znaleźć „puste

przebiegi” na scenie. Miłosz Mieszkalski, autor scenariusza i dramaturgii wykonał kawał znakomitej roboty. W filmie Julia odchodzi od Aksła, ponieważ poznała Alvinda. Dochodzi do serii zdarzeń, powodujących rozpady obu związków - Julii z Aksłem i Alvinda z Sunnivą - oraz dalsze tego następstwa. U Mieszkalskiego patrzymy na plan filmowy, scenariusz dalszych losów bohaterów rodzi się w zasadzie na nim, będąc konsensusem między aktorami grającymi poszczególne postaci. Za radą narratorów-Amorów i z ich moderacją powoli, analizując wszelkie „za” i „przeciw” dochodzą do związku poliamorycznego. Po drodze muszą wszyscy czworo solidnie się nad tym zastanowić, przeżyć wiele emocji. A widzom dostarczyć znakomitego materiału do przemyśleń, zaklętego w świetnie napisany i zagrany spektakl. Można mnożyć sceny, które Mieszkalskiemu się szczególnie udały. O jednej jeszcze słów kilka będzie. Tu wspomnę bardzo dobrze napisane, wyreżyserowane i zagrane cierpienie Aksła i Sunnivy, którzy zgodzili się na samodzielne spotkanie Julii i Alvinda. W zaciszu swoich pokojów przeżywają zazdrości, rozterki i pretensje do samych siebie. Zabawne to, wzruszające i bardzo prawdziwe. Nie potrzeba poliamorii do wyprodukowania zazdrości. A zagrana została tak, że bodaj każdy z nas, widzów, zobaczył w tej scenie część siebie. Dość powiedzieć, nie zdradzając meandrów fabuły - to jest bardzo dobry tekst. Solidna baza do stworzenia spektaklu. Wieloznaczna. Można wybrać dwie główne drogi przeprowadzenia widzów przez krainę „Amorii”. Komediodramat i dramatyczną. Obie się sprawdzą. Klaudia Gębska zaproponowała odczytanie tekstu pół na pół - i zabawnie i z refleksją. I to także jest świetne rozwiązanie.

OK, teraz potrzeba do tego wszystkiego aktorów. I są! Wyraziści, charakterystyczni, świetni warsztatowo i znakomicie osadzeni w swoich postaciach. Moim zdaniem narratorka-Amor to gwiazdorska rola Joanny Karcz. Jej głos zniewala, niczym syrenie śpiewy mitycznych marynarzy. Draży umysł, oplata myśli. Zaskoczyła mnie jej dojrzałość artystyczna w tak wielu aspektach prezentowanej roli. Taniec - świetny. Śpiew - super. Aktorka pokazała wachlarz możliwości i ogromny potencjał. Drugi narrator i zarazem druga połowa Amora, czyli Patryk Krzak zaskakuje zmianami nastrojów budowanej na scenie postaci. Od zabawnego, niemal błaznującego wesołka, po przykuwającego uwagę w poważnych monologach narratora, a w połowie

drogi moderatora, czy konferansjera pozostającego w pewnej interakcji z widzami. Julia, czyli Zuzanna Woźniak to także gama emocji i postaw. Od wielkiej, nieco zabawnej dla widza miłości, poprzez zagubioną w wirze emocji kobietę, kochankę. Mnóstwo jest odsłon tej Julii na krakowskiej scenie. Mocna rola Michała Nowickiego, którego Aksel jest prawdziwy, naturalny. Budzący sympatię i momentami współczucie, bo przecież to on traci na poliamorii najwięcej i najwięcej wymaga taki związek od niego właśnie. I, oczywiście od Sunnivy, postaci kreowanej przez Monikę Kufel. Zagrała ją w konwencji zranionej, zakochanej i silnej kobiety. Jej finałowa przemiana i zgoda na polipamoryczną relację daje do myślenia, zastanawia i budzi szacunek. Kwiat na cokole pomnika miłości, można powiedzieć. Czyli badanie ile szlachetny, zakochany człowiek jest w stanie zmienić w swoim systemie wartości aby utrzymać ukochaną osobę przy sobie. No i oczywiście Alvind. Jakub Żółtaszek robi z widzami, co mu się żywnie podoba. Śmiejemy się, gdy lekko skrzywi twarz. Skupiamy na nim uwagę kiedy zaczyna swoje oszczędne kwestie. A scena, w której będąc na randce z Sunnivą odbiera zabawnego mema od Julii - kapitalna. Zasługa to nie tylko Żółtaszka, ale także świetnie mu partnerujących Woźniak i Kufel.

Konstrukcja widowiska. Można się przecież wyłożyć i na tym. Poprzebierać postaci w durne stroje, kazać aktorom fikać na golasa fikołki, albo wchodzić w bezsensowne interakcje z widzami. Można. Ale tu tego nie zrobiono! Mamy wspaniałą, czytelnie opowiedzianą historię poliamorii. Nawet wspomniany, dwupostaciowy, Amor - narrator jest można powiedzieć polipamoryczny, bo jego obowiązki równolegle pełni Joanna Karcz i Partyk Krzak, o czym już pisałem. Błyskawiczne zmiany konwencji, narracji. Bardzo dobra choreografia, autorstwa Dawida Tasa, powoduje że na scenie, która na moje oko ma circa dwadzieścia metrów kwadratowych, można z powodzeniem opowiedzieć historię norweskiego emocjonalnego czworokąta.

Hitowa muzyka. Niby nic. Sześciostunowa gitara basowa oraz zestaw perkusyjny wspomniany niewielkim instrumentem klawiszowym. Ale to, co Piotr Korzeniak i Paweł Stus zaproponowali w epilogu „Amorii”, to muzyka, do której poproszę o link.

Zamierzam słuchać jej na okrągło. W domu i w samochodzie. Z przerwami na kolejne spektakle. Jest po prostu świetna. Do tego stopnia, że odczułem przeuroczą klęskę urodzaju. Nie wiedziałem, czy skupić się na słuchaniu muzyki, czy na śledzeniu tego jak spektakl się zakończy. Udało mi się to pogodzić. Ale tę muzykę, jak już napisałem, chcę na słuchawki!

Poliamoria to jest wyzwanie. Może oznaczać ludzką krzywdę. Zdeptanie czyjejś miłości. Tak. Tak może być i zapewne często poliamoria na krzywdzie właśnie jest budowana. Ale nie musi. Może stać się wyjściem z klatki wzajemnie wykluczających się uczuć i relacji kilku zakochanych w sobie nawzajem osób. Czy można potępić coś uogólniając? Czy jest sens ryzykowania gdy wielostronne zadowolenie jest bardzo niepewnym rezultatem? „Amoria” stawia pytania. Bardzo ważne. Nie tylko o istotę poliamorii jako jednego z wielu, co też brzmi na scenie, możliwych rozwiązań. Spektakl pyta także o coś o wiele ważniejszego; czy można przykładać równą miarę do materii tak niemierzalnej jak ludzkie uczucia? Jak miłość? Sugeruję uważnie na ten spektakl popatrzeć. On ma nie jedną, a kilka podszewek. I każda kryje zaskakująco ciekawe zaproszenia do dyskusji.

No i tyle. Mamy w „Amorii” świetny pomysł, błyskotliwy tekst, reżyserię oraz wysokich lotów aktorstwo i kapitalną muzykę. Do tego doskonała praca oświetlenia i - jest sukces. Owacja na stojąco, do której wstałem bez najmniejszych obiekcji. „Amoria” Teatru Barakah w Krakowie. Warto rozważyć, będąc w Grodzie Kraka. Zabawny ale i mądry plan na spędzenie wieczoru.